Rok XIIIty. Nr. 24.

Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela druga po Zielonych Świątkach*, dnia 10. Czerwca 1849.

Religia.

Święty Leon dziewiąty, Papież.

Bruno, który po wyniesieniu swojém na papieztwo, wziął imię Leona dziewiątego, urodził się 21go Czerwca roku 1002 w hrabstwie Dagsbourg, w Alzacyi. Rodzina jego, jedna z najdawniejszych i najznakomitszych w kraju, była spokrewnioną z najpierwszymi domami w cesarstwie. Hugo, ojciec Brunona, był bratem stryjecznym imperatora, Konrada Salickiego a Heldwiga, matka jego, córką jedyną i dziedziczką hrabiego Dagsbourg. Oboje podnosili tę zacność rodu przez pobożność szczerą i niezłomną cnotę.

Heldwiga pojmując całą ważność swych obowiązków macierzyńskich, niechciała nigdy w obce ręce powierzyć dziecinnych lat syna swego; lecz owszem sama karmiła go mlékiem swém, ażeby tém łatwiéj, kiedy pod jéj okiem wzrastał, mogła weń natchnąć, od najmłodszego wieku, miłość religii i rzeczy Boskich. W piątym roku życia, posłany był Brunon do Bertolda, Biskupa w Toul, który utrzymywał owego czasu w swoim pałacu sławną szkołę, gdzie się cała młodzież szlachecka z prowincyi zbierała. Pomimo tak młodego wieku, Brunon zaczął wkrótce celować nad innych wyższością dowcipu, pobożnością i nadzwyczajną niewinnością obyczajów. I dla tego więc, jak tylko zakończył nauki, zaraz biskup bacząc na takie cnoty, i pragnąc żeby należał do grona jego duchowieństwa, mianował go kanonikiem swojéj katedry. Święty nasz w ten czas uważając się za poświęconego jedynie służbie Bożéj, czas swój podzielił na modlitwę, czytanie dobrych książek, i naukę rzeczy duchownych. Lecz najprzyjemniejszém dla niego zatrudnieniem, były uczynki miłosierne, a mianowicie odwiedzanie szpitalów i nauczanie ubogich. Szanowano go téż, jako wzór kościoła w Toul. Uwiadomiony o tak zacnych czynach cesarz Konrad, chciał go miéć przy boku swoim i wezwał do dworu. Przekonawszy się zaś osobiście o zasługach i świątobliwości krewnego swojego, wkrótce przypuścił go do wszelkiéj ufności i powierzył najważniejsze interesa. Wten czas Brunon ujrzał się być otoczonym niebezpieczeń-

stwy; toż samo zaufanie, którém go monarcha zaszczycił, powszechną ściągnęło nań uwagę. Duma, ożywiona pochlebstwem, łatwo mogła się wśliznąć do jego serca, ukazując mu w przyszłości najwyższe dostojeństwa w państwie. Ale przeciwko tak wielkiéj pokusie, która zaciemnia nieraz najczystsze cnoty, umiał się zabezpieczyć przez głęboką pokorę, najdoskonalszą bogobojność, a nadewszystko przez gorące modlitwy. Nieraz błagał on Boga, ażeby go uwolnił od wystawy i tumultu dworskiego, a dozwolił oddać się całkowicie zatrudnieniom świętego swego powołania. Życzenia zacnego męża wkrótce zostały spełnione.

Po śmierci biskupa w Toul, zaszłéj roku 1026, duchowni i lud, zachowując zawsze pamięć świątobliwości Brunona, zgromadzili się, celem wybrania go na miejsce zmarłego. Wybór taki nie podobał się cesarzowi, który chcąc zatrzymać Brunona przy sobie, zamyślał go wynieść na jednę z pierwszych katedr biskupich w państwie. Dyecezya zaś Toulska nie miała naówczas wielkiego znaczenia. Brunon znając zamiary panującego, pospieszył zgodzić się na swój wybór i gotował się niezwłocznie do wyjazdu do Toul. Napróżno cesarz, pod różnemi pozorami, usiłował go zatrzymać na swoim dworze; napróżno oświadczał mu się z chęcią zawiezienia go do Rzymu, ażeby tam z rąk samego papieża mógł odebrać święcenia biskupie; Brunon oparł się wszelkim namowom, bo mniemał, że jego pierwszym obowiązkiem było, udać się do grona wiernych, którzy go wybrali za pasterza, i pracować bez zwłoki około ich zbawienia.

Przybywającego do Toul przyjęto z tryumfem. Lud i duchowni wyszli na jego spotkanie, i przez okrzyki radości dawali poznać, jak są uszczęśliwieni z posiadania takiego pasterza. Nie zawiódł ich nadziei Brunon. Albowiem, skoro tylko rządy objął, zaraz zaczął rozmyślać nad zapewnieniem duchownego pożytku trzody, która jego pieczy została powierzoną. Dyecezya Toulska, na saméj granicy Francyi od Niemiec położona, wiele bardzo cierpiała z powodu częstych wojen między dwoma narodami. Zajął się więc naprzód staraniem zagładzenia klęsk przez nie poczynionych, przyniesieniem ulgi mieszkańcom, oraz przywróceniem wszędzie pokoju i porządku. Potém usiłowania swoje obrócił ku reformie klasztorów. Zakonnicy zmuszeni kilkakrotnie uciekać, lub przyjmować u siebie żołnierstwo, stracili zupełnie ducha swego powołania; tak zaniedbali karność klasztorną, że byli prawie zgorszeniem dla ludu. Brunon roztropnością swą, żarliwością i miłosierdziem, dokazał tego, że wszystkie nadużycia zostały wykorzenione, a karność zakonna bardziéj niż kiedykolwiek zakwitnęła po wszystkich klasztorach prowincyi Vosges, słynących niegdyś na całym zachodzie świątobliwością pustelników, którzy je zamieszkiwali.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gospodarstwo rolne.

Cykorya.

„Stanisławie!“ rzekł ekonom, „macie grunt dobry i nie mało; nie zawadzi-

łoby, żebyście dla zysku, rozmaitości i przykładu drugich, nie jedno zawsze siali i sadzili; otóż wam radzę, zajmiéjcie się też i uprawą Cykoryi, która się po naszemu nazywa: „Podróżnik pospolity.““ — „Kiedy ja się na tém nie znam,“ odpowiada gospodarz. — „Ja was nauczę,“ mówił ekonom, „bom właśnie od naszego pana dostał książkę gospodarczą i w niéj także stoi o chodowaniu Cykoryi. Słuchajcie jeno:

Podróżnik pospolity uprawia się szczególniéj dla swego korzenia, który jest długi, zewnątrz żółtawy, w środku biały, mający w sobie sok mléczny. Roślina ta rośnie u nas dziko po drogach i dla tego się pewnie Podróżnikiem zowie. Gdy kwitnie, ma łodygę twardą, drzewiatą, na łokieć lub więcéj wysoką, i brózdowaną, kwiat złożony, piękny, niebieski, parzysto siedzący, bezszypułkowy; kwitnie w Czerwcu, nasienie dojrzewa w końcu Sierpnia, lub na początku Września. Liście ma długie, łapkowane. Tak łodyga, jako i szczególniéj liście, mają w sobie wielką gorycz; pomimo tego liście bydło chętnie pożywa i owce. Krowy miawowicie po nich wiele mléka dają. Cykorya w naszym klimacie należy do roślin dwuletnich, co znaczy, że w pierwszym roku tworzy i rozwija się korzeń z liściami korzeniowemi, w drugim zaś roku wyrasta łodyga, która kwitnie i nasienie wydaje.

Ponieważ przy chodowaniu Cykoryi zależy na tém, aby miéć jak najwięcéj najgrubszych korzeni, a nie rozsochatych, potrzeba więc pod nią gruntu ogrodowego dobrego, kruchego i głęboko uprawionego, który dla tego powinien być albo skopany, lub też głęboko zorany. — Oranie można odbyć w ten sposób: za pierwszym pługiem w téjże saméj brózdzie idzie drugi pług, albo radło, lub socha, tak, że jeżeli pierwszy poruszy ziemię na sześć cali, ostatnia poruszy o sześć cali głębiéj, czyli do dwunastu cali. Cykorya dziko rosnąca, ponieważ rodzi się w gruncie nieuprawnym i twardym, tém samém ma korzenie bardzo cienkie, bez smaku i do użycia nie zdatne.

Rola, mająca w sobie wiele drobnych kamieni, korzeni drzewnych, lub twardy spód, nie sprzyja także uprawie téj rośliny. Nasienie Cykoryi jest bardzo drobne, i dla tego należy powierzchnią gruntu jak najdrobniéj uprawić, i kto chce należycie pole przysposobić, powinien je przed zimą głęboko zorać, gnoju dobrze przegniłego nie żałować, a resztę na wiosnę doprawić. Na morg polski, trzystaprętowy, dosyć jest wysiać cztery funty nasienia, które siać można od połowy Kwietnia, aż do końca Maja, i ażeby prędzéj wschodziło, można je wprzód namoczyć w ługu z przegniłéj uryny bydlęcéj, w któréj się rozpuszcza na każdy funt nasienia dwa łóty soli kuchennéj i łót koperwasu. Chcąc zaś uniknąć zbyt gęstego siewu, można oznaczyć całe pole znacznikiem, w linii o sześć, lub ośm cali odległéj; linie te można głębszemi uczynić za pomocą motyczki, i w nich zasiewać nasienie palcami, a potém lekko zabronować, lub na małéj przestrzeni zagrabić. Jak tylko rośliny powschodzą i chwast się w nich pokazuje, trzeba je opielać, a w miesiąc później obgrzebywać; przy któréj robocie należy rośliny gęsto rosnące przerywać. We Wrześniu, lub na początku Października, korzenie już

dochodzą swéj dojrzałości, i w ten czas wyjmować je z ziemi należy. Przed wyjmowaniem korzeni można téjże liście skosić na paszę dla bydła. Wyjęte korzenie oczyszczą się z piasku i z liści, i układają się dla przeschnięcia w stósy, na polu, lub w stodole, albo w innych miejscach przewiewnych. Po oschnięciu najlepiéj je sprzedać zaraz do fabryk. Przy średnim zbiorze można mieć z morga polskiego ośmdziesiąt cetnarów korzeni.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmaitości.

Pozbył się obawy.

Niektórzy ludzie gdy się nachylą ku starości zwłaszcza, bo i między młodemi zdarzają się przykłady, tak jakoś pokochają pieniądze, że nie dojedzą, nie dopiją, byle tylko talarka jednego i drugiego wsadzić do garnka lub cholewy, i zakopać w ziemię. Ukradkiem zaglądają do nich i rozpływają się z rozkoszy, gdy je sobie mogą rachować. Biédni ludzie! prawdziwie można powiedzieć, że ich złe opętało. Bo nie chowają na potrzebę, tylko z łakomstwa, z nałogu, jak kruk śrebrne rzeczy, których nigdy nie pożyje. Ile to pieniędzy w ten sposób zmarnowało się lub poszło w nie swoje ręce! — Ale do rzeczy! W jednéj wsi był gospodarz Marcin, nie stary jeszcze, nie, ale okrutny chciwiec, jałowo, nawet bez soli niekiedy jadał, byle tylko nie wydać grosza. Biédnie wyglądał, a ludzie szemrali, że ma pieniądze. Ale gdzie? o tém nikt nie wiedział, nawet i żona i dzieci. Gdy coraz bardziéj zaczęły się w okolicy szerzyć kradzieże, nasz Marcin sypiać nie mógł, taką miał obawę o swoje talarki. Co dzień gdzie indziéj je chował, ale nigdy spokojny nie był; samotny, sam do siebie o nich rozmawiał: „Żeby mi ich tylko nie ukradli.“ Na nieszczęście podsłuchał go złodziéj, co dawno miał chrapkę na niego; ale on nie wiedział o tém i nie znał go wcale, a podsłuchał go, gdy wracał z miasta. Jakby nigdy nic, zbliża się do niego, a już się zmierzchało, i z pobożną minką pochwalił Pana Boga i zaczął gawędzić z Marcinem, postępując daléj, o tém i owém, wreszcie i o kradzieżach. W końcu rzekł: „Gdyby człowiek nie wiedział sposobu, toby nie był pewny grosza przy duszy.“ Marcin radby był poznać ów sposób, zaprasza podróżnego na szklankę piwa do przyległéj karczmy i myśli sekret wyłudzić. Złodziéj kazał dać wódki, podchmielił Marcina; a ten pił, bo nic nie kosztowało. Podochocony wychodzi z swym przyjacielem, który go obiecał nauczyć sposobu pozbycia się obawy o swoje pieniądze, i około północy przychodzą do podwórka Marcinowego. „Teraz musicie ich dobyć,“ rzekł do ucha Marcinowi złodziéj, „bo inaczéj wam ich zażegnać nie mogę.“ Wahał się chciwiec z początku, ale gdy przyjaciel chciał niby odchodzić, „toć już i pójdźmy!“ zawołał, i poszedł ku stodole pod bez, wyciągnął cholewę z talarami z pod kamienia; a gdy ją miano zażegnać, zniknął złodziéj, z nim cholewa Marcina, a z cholewą i cała obawa.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)